

# Kurier Festiwalowy nr 8

XV MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU I XIII KONKURSU SZTUKI WOKALNEJ IM. ADY SARI  
„SZTUKA WOKALNA EUROPY ŚRODKOWEJ”

## Głos to zwierciadło duszy

ROZMOWA Z Giuseppe Giacomini, legendarnym tenorem, jurorem XIII Konkursu im. Ady Sari

**Maestro, jako młody człowiek brał Pan udział w konkursach wokalnych w Neapolu, Vercelli, Mediolanie, zdobywając najwyższe laury. Jak Pan wspomina te wokalne mistrzostwa?**

Bardzo mile. Odpowiadały mojej osobowości i charakterowi mojego głosu. W repertuarze na głos tenorowy więcej jest pieśni i arii melancholijnych, dramatycznych, aniżeli tych radosnych, a ja z natury jestem romantykiem i w takim repertuarze najlepiej się czuję. Ale zdarzyło się w mojej karierze parę konkursów, których nie wygrałem, tylko zajmowałem w nich jakieś kolejne miejsca i zdobywałem wyróżnienia. Czas pokazał, że ich zwycięzcy nie zrobili wokalne kariery. To była dla mnie satysfakcja – ale nie dlatego, że im się nie udało utrzymać na koncertowej scenie, tylko satysfakcja z mojej pracy, że mnie udało się zejść tak daleko...

**Obserwował Pan konkursy wokalne jako uczestnik, a potem też jako juror. Uważa Pan, że lepszym sprawdzianem dla śpiewaka jest taka rywalizacja, czy koncertowa scena?**

Konkursy i koncertowa scena niekoniecznie muszą się wykluczać, chociaż śpiewak powinien brać udział w konkursach jak najwcześniej. Bo to właśnie one mogą najlepiej sprawdzić jego umiejętności i przyspieszyć wejście na scenę. Jeżeli wygrywa się konkurs, to wspaniale, bo to nadaje rozpędu karierze wokalisty. Ale gdy się go przegrywa, to też dobrze – bo to zmusza śpiewaka do przemyśleń, artystycznych poszukiwań, które zawsze rozwijają osobowość.

**Kiedy po raz pierwszy poczuł Pan, że jest prawdziwym śpiewakiem operowym? Czy to było podczas Pana ostatniego debiutu w Vercelli w partii Pinkertona w „Madama Butterfly” w 1966 roku, a może podczas jednego z późniejszych występów w Berlinie, Wiedniu, Barcelonie, Paryżu, Londynie?**

To w rzeczywistości było parę dobrych lat po debiucie, kiedy już naprawdę zacząłem śpiewać i pracować w wielu teatrach operowych. Wtedy, po wielu spotkaniach z operową publicznością, poczułem, że to co robię jest ogromną lekcją pokory wobec idei kompozytora, wobec opery, wobec słu-



**Która z Pana ról, w którym teatrze, sprawiła, że poczuł Pan, że zna się na śpiewaniu?**

W 1976 roku zadebiutowałem partią Alvara w „Mocy przeznaczenia” Giuseppe Verdiego w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Ta scena otwiera przed śpiewakiem drzwi do światowej kariery. Tam śpiewałem największe, zarazem najbardziej wymagające partie tenorowe, m.in. Macduffa w „Makbecie”, Cavaradossiego w „Tosce” czy Cania w „Pajacach”. Tak, chyba wtedy, na tej najsłynniejszej scenie, poczułem się prawdziwym śpiewakiem.

**Sprawiła to magia tej sceny, czy też magia wspaniałych realizacji i grona wielkich śpiewaków, wśród których i Pan się znalazł?**

Wszystko! Wszystko to sprawiło, że w każdą rolę i przedstawienie wdałem całą swoją duszę. Czuję, że to najważniejsze, co może spotkać artystę i chciałem, musiałem dać z siebie wszystko co najlepsze. To było wspaniałe mieć za partnerki sceniczne tej klasy śpiewaczki, co Montserrat Caballé czy pierwszą czarnoskórą divę Metropolitan – Leontynę Price. Byłem zaszczycony, że mogę występować z tymi wielkimi damami opery. Z Leontyną Price śpiewaliśmy wspólnie w operach Giuseppe Verdiego „Trubadurze” i „Mocy przeznaczenia”, i były to jedne z największych artystycznych przeżyć w moim życiu.

**Która z licznych operowych partii tenorowych jest Pana ulubioną?**

Jestem niepoprawnym romantykiem. Nawet, gdy jestem bardzo szczęśliwy, moja dusza przeżywa to w melancholijny sposób. Stąd może moja ulubioną rolą jest „Andrea Chenier” Umberto Giordano. Debiutowałem w tej roli w Katanii na Sycylii, potem śpiewałem tę operę w Ameryce. Ale największy sukces odniosłem w Tokio, gdzie wykonywałem tę partię pierwszy raz po ponad 30 latach od czasu, gdy w tej roli Japonia usłyszała legendarnego tenora – Mario del Monaco. Aplauz był tak gorący, że brawami przerywano mi arie. Wydawało się, że nigdy nie skończę tej partii. I choć zawsze śpiewałem pod batutą wielkich dyrygentów – Lori-

na Maazela, Zubina Mehty, Valery’ego Giergiewa, Claudio Abbado – tu była lokalna orkiestra pod batutą japońskiego dyrygenta, a efekt artystyczny był naprawdę niesamowity.

**I właśnie ten spektakl, nie występ w „Aidzie” pod piramidami w Kairze czy na Igrzyskach Olimpijskich w Seulu, był dla Pana największym przeżyciem?**

Tak, nie było tam może wielkich nazwisk, ale występowałem z prawdziwymi muzykami – pasjonatami, którzy kochają operę.

**Jak to się dzieje, że największy tenorzy pochodzą głównie z Włoch?**

Pewnie dlatego, że język włoski jest niezwykle melodyjny, miły dla ucha i skłania do śpiewu. Z drugiej strony zawsze mieliśmy wielu wspaniałych śpiewaków, niemal bohaterów narodowych. Jeżeli więc ktoś chciał w naszym kraju śpiewać, miał wspaniałą wzór do naśladowania – właśnie głosy Mario del Monaco, Enrico Caruso. Oni dyktowali warunki. Przy tym Włosi, to radosny naród, który przy każdej okazji lubi śpiewać. Mamy w tym ogromną tradycję.

**Kto Pana przekonał do śpiewu?**

Właściwie, gdyby nie moja siostra, którą kiedyś rozboleła głowa, pewnie nigdy nie trafiłbym na wielką scenę.

**Zawdzięcza Pan karierę bólowi głowy?**

Tak... Pochodzę z bardzo biednej rodziny. Moi rodzice pracowali dla właściciela ziemskiego w Veggiano, w okolicach Padwy. Na niewiele nas było stać... Kiedyś moja siostra dostała od kogoś bilet na spektakl w teatrze Arena di Verona, ale... rozboleła ją głowa i bilet przypadł mnie. Gdy jechałem do Werony, w autobusie pasażerowie zaczęli śpiewać, a ja razem z nimi. Nagle podszedł do mnie elegancko ubrany jegomość i zapytał, kim jestem i skąd u niego tak śpiewać. Nie zdawałem sobie sprawy, że mój głos to coś nadzwyczajnego. Od małego rodzice chwalili się znajomym, że ładnie śpiewam. Pamiętam taki obrazek z dzieciństwa: siedzę w stajni, bo to było jedyne miejsce gdzie było ciepło, rodzice przychodzą z przyjaciółmi i mówią: Bepino śpiewaj! No to śpiewałem... Ten elegancki pan z autobusu, miłośnik opery, przyszedł do padrone,

u którego pracowali moi rodzice, a ten dał pieniądze na moją naukę w Konserwatorium w Padwie. Miałem wtedy 18 lat. Potem pracowałem jako kelner w wakacje, by zarobić na studia.

**Czy rodzice często mieli okazję oglądać Pana na scenie?**

Zawsze byłem ogromnie szczęśliwy, gdy przyjeżdżali na moje występy. To były wielkie emocje zarówno dla mnie, jak i dla nich. Moi rodzice byli bardzo prostymi, szlachetnymi ludźmi. Mieli ogromny szacunek dla sztuki i osób z nią związanych. Do tego stopnia, że po spektaklach zaczęli do mnie mówić na „Pan” – tak doceniali to, co sobą reprezentowałem. Nigdy też po spektaklach nie wchodził do mojej garderoby jako pierwsi. Cierpliwie czekali, aż wszyscy mi pogratulują, aż rozdą autografy, i na samym końcu przychodzili mnie uściskać. Od nich nauczyłem się tej pokory dla sztuki. Wszystkie wielkie sukcesy, które udało mi się odnieść, wydały mi się snem. Nigdy nie szukałem żadnych zaszczytów, on same mnie odnalazły. Każdy śpiewak powinien być pokorny, zwyczajny i szczerzy.

**Ale zwrócił się Pan w stronę opery, która – jak mówią niektórzy – kreuje ten lepszy, wymarzony świat?**

Zawsze o tym myślałem – o mojej wymarzonej scenie, ale nie spychałem w dal codzienności. Żyłem sceną, ale i moją rodziną – żoną, dziećmi, bez których pewnie nie zrobiłbym kariery. Oni dają mi szczęście i ten spokój tak potrzebny artyście do pracy...

Wierzę, że głos wzbogaca się wraz z przeżywaniem życia. Uwrażliwia się zwłaszcza poprzez cierpienie i przez to staje się tak subtelnym instrumentem. Dusza śpiewaka napęnia się wtedy wszelkimi odcieniami emocji – płaczem przecież nie tylko z nieśczęścia czy bólu, ale też z radości. Potem pozostaje tylko wsłuchać się w swoją duszę, bo głos jest przecież jej odbiciem. A gdy głos potrafi przekazać prawdziwe emocje, publiczność je rozumie i przyjmuje. I dopiero ta więź z publicznością – nie tylko dobrze zaśpiewana rola – jest prawdziwym sukcesem śpiewaka.

Rozmawiała  
ADRIANNA GINAŁ

### Kulisy festiwalu...

#### Złote Formaty i pomarańczowa nuta

Ewa Natkaniec, autorka charakterystycznych plakatów z pomarańczową nutą XV Międzynarodowego Festiwalu im. Ady Sari, zdobyła nagrodę Złotych Formatów w zakończonym właśnie III Festiwalu Miast i Regionów. Laur przypadł artystce za outdoorową kampanię reklamową „Małopolska na zawsze”. Do Złotych Formatów 91 miast i regionów zgłosiło 317 projektów promocyjnych.

Małopolska zwyciężyła z pomocą kreacji graficznej Ewy Natkaniec, która na billboardzie umieściła dłoń z obwarzankiem zamiast obrączki. 300 takich billboardów promujących Małopolskę zawisło na dwa tygodnie w 10 największych polskich miastach. Ewa Natkaniec jest absolwentką Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydziału Industrial Design Politechniki w Mediolanie oraz Filologii Angielskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracowała jako art director w agencjach



reklamowych w Warszawie: Grupa66 Ogilvy, Leo Burnett. Obecnie jako niezależny grafik zajmuje się projektowaniem plakatów kulturalnych, teatralnych, oprawą graficzną imprez i instytucji kulturalnych. Rok temu zdobyła I Miejsce na Festiwalu Promocji Miast Złote Formaty za cykl plakatów Kulturalna Małopolska. Dla XV Festiwalu im. Ady Sari stworzyła nową oprawę graficzną z charakterystyczną pomarańczową nutą, która szybko stała się bardzo rozpoznawalnym symbolem festiwalu. (AG)

**SOKGŁ**  
Małopolskie Centrum Kultury

PROGRAM REGIONALNY  
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007–2013.